Nr. 10. Lwów, dnia 7. grudnia 1912. Rok I.

NOWY PRĄD



TYGODNIK POLITYCZNY, EKONOMICZNY, SPOŁECZNY, NAUKOWY i LITERACKI.



Adres Redakcji i Administracji Lwów, ulica św. Teresy (obok fundacji Domsa) III piętro.

Co będzie?

Sytuacja międzynarodowa nie wyjaśniła się dotychczas, pomimo pokojowych zapewnień Rosji, gdyż istnieją poważne poszlaki, że nie są one szczere.

Dlatego też szanse wojny Austrji z Rosją, a przez to wojny europejskiej są bardzo poważne.

Austrja nie może jako państwo puścić Serbji płazem ciężkich przewinień jej rządu wobec siebie; dlatego też musi żądać zupełnego zadosyćuczynienia, które znowu dla Serbji, upojonej zwycięstwami, podbechtywanej przez Rosję — będzie w obecnej chwili, niemożliwe do spełnienia

Prócz tego pozostaje kwestja portu na Adrjatyku. Serbja w tej sprawie zaangażowała się bardzo daleko, Austrja również. Serbja zajęła już połać ziemi albańskiej nad morzem i nie zechce jej opuścić dobrowolnie.

Austrja niezawodnie wkroczy do Serbji, zajmie Belgrad. Co zrobi Rosja? Czy pozostawi Serbję samej sobie? Chyba nie. Nie ulega wątpliwości, że Rosja podżegała Serbję obecnie, jak podżegała ją przed kilku laty. Gdyby się teraz cofnęła pozostawiając Serbję samej sobie — straciłaby wszelki wpływ na półwyspie Bałkańskim, a Związek Bałkański podlegałby odtąd oddziaływaniu Austrji.

Prawda, dla Rosji wojna jest niebezpieczna i to nawet bardzo, ale cofnięcie się przed nią jest także przegraną sromotną.

Z drugiej znowu strony żywioły konserwatywno-nacjonalistyczne w Rosji prą do wojny, przeć będą do niej bardziej jeszcze po wkroczeniu Austrji do Serbji. Prezes dumy Rodzianko wypowiedział mowę wojenną, która była niewątpliwie wyrazem opinji ogromnej większości Rosjan biorących udział w życiu politycznym.

W najbliższym otoczeniu cara partja wojenna jest silnie reprezentowana. Na czele jej stoi W. Ks. Mikołaj Mikołajewicz, miernota pod każdym względem, ale zarazem człewiek wpływowy.

Obok niego stoi minister wojny Suchomlinow, uczeń słynnego Dragomirowa, człowiek zdolny niewątpliwie. Sam car wreszcie nienawidzi Austrji i pragnie odwetu za upokorzenie Rosji podczas aneksji Bośni i Hercegowiny.

Prawda, ludzie rozsądni ostrzegają przed wojną, ale rozsądek w Rosji rzadko ma wpływ decydujący.

Ze stron obu gromadzą się wrogie uczucia... Austrja obecnie ma wielkie szanse wygrania wojny, za lat 5, 10 i później będą one mniejsze.

Austrja wraz z Niemcami, Rumunją i Szwecją tworzy potęgę, wobec której Rosja, Francja, nawet z Anglją (udział której jest wątpliwy — tworzą siłę na ludzi mniejszą — a przecież w razie wojny Francji z Niemcami Włochy zaatakowałyby ją zapewne.

Zresztą jeżeli Austrja wkroczy do Serbji, jeżeli zajmie jej stolicę i inne miejscowości, to nie dlatego, aby po kilku miesiącach odejść spokojnie bez niczego. I tu więc tkwi punkt ciemny na horyzoncie politycznym.

Tak więc, wbrew optymizmowi, który w ostatnich dniach przeważa w prasie, sądzimy że szanse wojny są duże. Z czego, wyznajemy otwarcie, cieszymy się, gdyż przypuszczamy, że Rosja zostanie pobita, i że dla przyszłości naszego narodu otwierają się obiecujące perspektywy.

Z innych jeszcze względów pragniemy wojny. Obecna sytuacja gospodarcza w Austrji jest nader ciężka. Dłuższe trwanie pokoju zbrojnego w tych co obecnie rozmiarach jest wprost dla całego państwa, a zwłaszcza dla naszego kraju, zabójcze. Jeżeli teraz wojny nie będzie, to musi nastąpić niesłychanie ciężkie przesilenie ekonomiczne. Przeciwnie, jeżeli wybuchnie wojna, i jeżeli Austrja zwycięży, to Rosja zapłaci dużą kontrybucję, i skutkiem znacznego jej osłabienia — nie będziemy potrzebowali zbytnio się zbroić.

Zapewne, wojna jest straszna, przynosi ona ze sobą ogrom bólu, nieszczęść i t. p. Wszystko to prawda. Ale, skoro silne antagonizmy państwowe każą wierzyć, że musi ona nastąpić, nie dziś

to za pół roku, 5 albo 10 lat — to lepiej aby się odbyła w chwili kiedy szanse porażki Rosji są największe.

A z drugiej strony wojna niszczy, zabija dziś szybko.

Tymczasem wojna gospodarcza w rezultacie sieje również spustoszenie i śmierć, tylko przez znacznie dłuższy czas.

Może jednak Rosia się zlęknie i zdecyduje się na porażkę bez wojny? Nie jest to wykluczone, tuszę jednak, że zdobyć się jej na to będzie bardzo a bardzo trudno. *Ludwik Kulczycki*

Dr. Z. Daszyńska-Golińska.

Obecny stan przemysłu w Galicji i Królestwie Polskim.

(*Dr. Al. Szczepański. Stan wytwórczości przemysłowej i górniczej w Galicji w r. 1910, Lwów 1912*).

(*Zenon Pietkiewicz. Stan przemysłu w Królestwie Polskim wedł. danych z r. 1910. Warszawa 1912*).

Uprzemysłowienie obu dzielnic polskich staje się wreszcie faktem. Powstało zaś w tak różnych warunkach i czasie, że nawet jako problemat naukowy niemały przedstawia interes.

Przemysł królestwa, którego dzieje sięgają aż do czasów banku polskiego, a przełomowe momenty w 1852 r. (zniesienie granicy celnej od cesarstwa) oraz ósmy dziesiątek lat zeszłego stulecia, wielekroć były omawiane, przedstawiał w 1897 r.[1]) 15 prc. ogólnej produkcji przemysłowej w państwie Liczba robotników 241.720 stanowiło 11 5 prc. całej armji robotniczej cesarstwa, a liczba zakładów nie dochodziła nawet 11 prc. Był to więc typ przemysłu wielkiego o wyższym ustroju i większym napięciu wytwórczości od rosyjskiego Obecnie stosunki w Rosji zmieniają się szybko. W samym r. 1911 powstało tam 262 towarzystwa akcyjne z kapitałem zakładowym 144 milionów rubli[2]). Trudno zatem przypuszczać, aby przemysł Królestwa na długo utrzymał tę swoją przewagę. W każdym jednak razie przemysł polski czyni coraz nowe podboje na terytorjach państwa rosyjskiego w Noworosji, nad Wołgą, na Kaukazie w obwodzie Zakaspijskim, w Syberji Zachodniej i Wschodniej, szuka zbytu w Chinach i Azji Mniejszej. Produkty przemysłu tkackiego z Królestwa stanowią połowę całego przywozu w Persji przechodząc przez główny punkt przewozowy — Baku).

Są to niewątpliwe dowody żywotności, które potwierdzają cyfry zestawione przez Z. Pietkiewicza według Roczników wydawnictwa Przemysł i handel król. Polskiego dla lat 1901/2 i 1910.

Wprawdzie porównanie jest tu nieścisłe. W danych z przed lat 8 nie uwidoczniono całych działów przemysłu, które jako przemysł konfekcyjny istnieć przecież musiały. To też cyfry dla obu lat skrajnych okresu uważać trzeba za minimalne, a tylko rozwój niektórych przemysłów jak włóknisty, górniczo hutniczy nadaje się do porównań.

Pomimo to korzystam z cyfr broszury, które przybliżony obraz rozwoju i stanu przemysłowego podają.

Przemysły	L. Zakładów		L. robotników		Warstość produkcji w 1000 rb.	
	r. 1901 2	19 0	1901 2	1910	1901 2	1 10
Włóknisty	622	1166	121482	150305	207[illegible]63	341266
Spożywczy	717	3032	28072	4[illegible]458	69917	15472[illegible]
Górn. hutniczy	514	479	42530	45697	57709	60139
Metalowy[1])	287	1510	31570	620[illegible]7	57491	1103[illegible]1
Mineralny[2])	249	520	15018	23075	11483	30433
Chemiczny	62	264	3966	9153	13956	29831
Prod. zwierzęc.	141	284	4826	7034	15966	29378
Drzewny	213	879	9358	17259	9681	23215
Papier. i poligraf.	128	672	8022	15402	11022	25695
Konfekcyjny	—	1918	—	25438	—	47919
Mięszany	—	229	—	3074	—	7246
	1933	10953	264843	400922	454898	860148
Na 1 zakład			137	46	235	79

[1]) w 1901/2 zaliczono tu również przemysły mechaniczne.
[2]) Ceramiczny w 191/2.

Jak widzimy z porównania liczby przedsiębiorstw, przyjmowano dla statystyki inne jednostki wytwórcze. W przekonaniu tym utwierdza mnie obliczenie robotników i cyfry produkcji wypadające na jedno przedsiębiorstwo. Nie idę więc tak daleko jak p. Pietkiewicz i nie podejrzewam ścisłości danych, bo ich niewspółmierność rzuca się w oczy.

Na miejsce naczelne produkcji przemysłowej Królestwa wysuwają się przemysły włókniste, umiejscowione głównie w gubernji Piotrkowskiej, a zatem w Łodzi i miasteczkach okolicznych. Przewaga Łodzi i miasteczek okolicznych zaznacza się głównie w zakresie fabryk wełnianych i bawełnianych Fabryki bawełny dochodzą do największych rozmiarów: na 50 zakładów przypada 68 tys. robotników i produkt o wartości 135 mil. rubli. Drugie miejsce zajmują wyroby wełniane 118 zakładów i 41 tys. robotników Wartość produktów obu tych

[1]) W cyfrach spisu jednodniowego.
[2]) Przemysł krajowy — Warszawa Nr. 16. (19).
[1]) Tamże Nr. 2.

gałęzi tkactwa oblicza P. na 268 i pół miljonów rubli. Poza tym przemysły włókniste Królestwa obejmują wszelkie gałęzie, a zatem wyroby jedwabne i półjedwabne, przy czym Warszawa dorównywa prawie Łodzi, lniane, jutowe i konopne, wyroby dziane, plusze, serwety, dywany, portjery, tasiemki, koronki, tiule, firanki i t. p. Pomyłce prawdopodobnie przypisać trzeba, że fabryki wyrobów lnianych, jutowych i konopnych wykazano tylko 7 $^1/_4$ mil rubli produkcji i 3995 robotników, skoro same Zakłady w Żyrardowie zatrudniają dwa razy liczniejszą rzeszę robotniczą.

Przemysł przędzielniczy i tkacki, który wzrósł i rozwielmożnił się dzięki rosyjskim rynkom zbytu, przechodzi obecnie ciężkie czasy właśnie z powodu swojej zawisłości od Rosji. Od kilku miesięcy skracają produkcję z powodu niewypłacalności i bankructw w Rosji. Cierpią na tem głównie drobne fabryki i tkacze ręczni, chałupnicy, których w okolicach Łodzi liczą do 4 tysięcy.

W przemyśle spożywczym pierwsze miejsce zajmują cukrownie, zatrudniające 21 tysięcy robotników, których produkcja dochodzi do 64 miljonów rubli. Ilość cukrowni pozostała w ciągu 8 lecia ta sama, jakkolwiek wytwórczość wzrosła w dwójnasób. Pozostali robotnicy rozdzielają się między browary, gorzelnie, rektyfikacje spirytusu, fabryki wódek, młyny, piekarnie i t. d.

Wśród przemysłów metalowych zwracają uwagę, ze względu na wielkie ich znaczenie społeczne, fabryki maszyn młyńskich, oraz maszyn i narzędzi rolniczych. Sądziłby należało, że w kraju rolniczym powinny się one wybijać na plan naczelny, tymczasem wartość produkcji 84 fabryk tego rodzaju (6.6 mil. rb. przy 3867 robotnikach) nie wystarcza na zapotrzebowanie krajowe.

Publikacja p. Pietkiewicza jest zbyt dorywczą, aby oprzeć na niej jakiś sąd ostateczny o kierunku przemysłu w Królestwie. Dopełniając jednak jej dane na podstawie wiadomości dawniejszych o przemyśle Królestwa, dojść trzeba do wniosku, że przemysł liczy się tam bardzo mało z zapotrzebowaniem społeczeństwa miejscowego, ale rozwija w kierunku eksportu na rynki rosyjskie, a zatym uwzględnia w pierwszym rzędzie zyski przedsiębiorców. Wynika to z natury tego przemysłu, który w przeważającej ilości zasilany jest obcymi kapitałami. Możność zbytu na wschód przyciąga je i ta pokusa przeszkadza niewątpliwie w racjonalnym rozwijaniu się przemysłu w kraju. Przemysł ten jest polskim, ponieważ stwarzają go ręce polskich robotników, ale nie jest zgodny z interesami polskiego społeczeństwa, które kieruje nim w małej tylko mierze.

O ile broszura p. Z. Pietkiewicza stanowi jedynie dopełnienie znanych dawniej badań Koszutskiego i Jeziorańskiego, a opiera się na materjale, którego autor nie sprowadza pod względem metody zbierania danych, o tyle publikacja o Galicji stanowi pracę źródłową. Dr. A. Szczepański powołany na kierownika krajowego biura dla statystyki przemysłowej, zużytkował siły tegoż i własne na zbieranie i opracowanie danych, dotyczących rozwoju *właściwego* przemysłu w ciągu ostatnich lat 8, t. j. od chwili spisu przedsiębiorstw w 1902 r. Mówię właściwego, bo do wielkiego przemysłu w Galicji zaliczyć się da bardzo mała liczba zakładów.

Poszukując cech odróżniających tę kategorję od innych na pół lub całkiem rękodzielniczych W. S. zajmuje się „wytwórczością polegającą na przeróbce surowców, lub półfabrykatów zorganizowaną w zależności od rynku światowego" i do takiej zalicza w Galicji 4363 zakłady zatrudniające 106556 robotników, zarówno przemysłowe jak i górnicze.

Materjał do statystyki gromadzono przedewszystkiem przy pomocy kwestjonarjusza, na który zebrano 1086 odpowiedzi, przeważnie od większych przedsiębiorstw. Równocześnie funkcjonarjusze biura zbierali dane bezpośrednio w zakładach przemysłowych po centrach przemysłu we wschodniej i zachodniej części kraju. Wiele dopomogły dane dostarczone przez krajowy zakład ubezpieczeń od nieszczęśliwych wypadków oraz wyciągniętej z akt tow. krajowej komisji przemysłowej. Natomiast uskarza się dr. S., iż ani starostwa, ani izby handlowe oprócz lwowskiej, żadnej pomocy mu nie niosły, a przecież instytucje te w pierwszym rzędzie powinny były współdziałać.

Rozrost przemysłu galicyjskiego w ostatnich latach 8 jest bardzo wyraźny i niezaprzeczony. Dokładne porównanie ze spisem przedsiębiorstw przeprowadzić się nie da. Możemy przecież ten wzrost ocenić, zestawiając przedsiębiorstwa, posługujące się silnicami w obu latach. W 1902 r. spis podaje dla Galicji 5146 zakładów, posługujących się popędem mechanicznym. Statystyka z 1910 r. przyjmnje ich tylko 2607, zaliczając pozostałe do przemysłu drobnego. I ta liczba o 49% niższa zatrudniała 89873 robotników i 139344 koni mechanicznych, gdy w 1902 r. odnośne cyfry były 63186 robotników i 84247 koni mechanicznych.

Liczba zakładów przemysłowych rośnie w ogóle w tempie powolniejszym niż liczba robotników. W pewnych gałęziach nawet jak np. hutnictwo, przemysł chemiczny, wyrób maszyn i narzędzi, przemysł włóknisty, liczba przedsiębiorstw zmniejsza się wraz z jednoczesnym wzrostem liczby robotników o 30, 40 do 50%, oraz zastosowaniem siły mechanicznej w większych rozmiarach.

Zestawiając różnorodne gałęzie przemysłu według liczby zatrudnionych robotników, ilości koni mechanicznych, oraz wartości produkcji przyczym zachowuję porządek następstwa zgodny z malejącą wytwórczością, otrzymamy następujący szereg:

	Wytwórczość z 1910 r. w 1000 kor.	Ilość zatr. robotników	Ilość koni mechan.
Przem. spożywczy	*299164*	20774	28467
„ górniczy	63000	6501	*35856*
„ chemiczny	50322	5075	4564
„ drzewny	50[illegible]00	12469	13575
„ ziemno ceram.	3909[illegible]	*21797*	10918
„ włóknisty	31500	5300	4786
„ metalurgiczny	17000	7142	5616
„ maszyn i narzędzi	15000	4087	2417
„ papierowy	13743	3380	7587
„ graficzny	8250	2225	513
„ skórniczy i zwierz.	8090	1077	144
„ hutniczy	5148	12[illegible]4	925
„ wytwarzanie energ. elektrycznej	3320	393	18942
„ konfekcyjny	3155	789	277
„ celluloid i kauczuk.	55	1[illegible]4	13

Pod względem wartości wytwórczej stoi przeto na pierwszym miejscu przemysł spożywczy, najwyższą liczbę robotników zatrudnia ziemno ceramiczny, a najwyższą siłą maszynową rozporządza górnictwo. Przed innemi wysuwają się przeto w Galicji gałęzie przemysłu związane z rolnictwem i mineralnymi zasobami ziemi, ponieważ na czwartym miejscu postawić trzeba przemysł drzewny.

Fakt ten nasuwa dr. S. uwagi o pierwotnym charakterze przemysłu galicyjskiego, który nie wstąpił jeszcze na właściwą drogę. Powiedziałabym przecież, że niema powodu do ubolewań.

Tak młody przemysł jak galicyjski, w kraju przeważnie rolniczym. rozwijając się konsekwentnie musi pozostawać w ścisłej zależności od rolnictwa, a idąc w kierunku najmniejszego oporu w dalszym ciągu wysuwa na plan pierwszy przeroby płodów rolnych. A zatem w młynarstwie pracowało w 1910 r. 3612 młynów, tworzących Związek młynów galicyjskich i Koło młynarzy Galicji, Bukowiny i Szląska. Młynów handlowych było wśród nich 319, a wartość zmielonej mąki liczy statystyka na 170 milj. koron. Cukrownictwo galicyjskie przedstawia się bardzo skromnie (fabryka w Przeworsku) i nie może wytrzymać porównania z Królestwem. Natomiast wytwórczość przemysłu piwowarskiego (23 i pół mil. koron) wyrównywa, a gorzelniczego (34 mil. kor.) nawet przewyższa stosunki w Królestwie. Galicja pozostaje jak dawniej krajem gorzelników. Znaczne postępy wykonuje przemysł masarski w którym 10 firm pracuje na eksport, oraz wyroby tytoniowe z wytwórczością 20 miljonów koron.

W górnictwie obok produkcji ropy naftowej, która w ostatnich latach 10-u podniosła się czterokrotnie stoi już dziś znaczna ilość węgla kamiennego, owo zagłębie chrzanowskie, które dla przemysłu galicyjskiego rokować pozwala świetną i zabezpieczoną przyszłość. W hutnictwie zużytkowuje się dotąd jeden tylko gatunek rudy — cynkowej, przetapianej w zakładach w Trzebini i w Krzu obok Sierszy.

Na tory wielkoprzemysłowe wszedł również przemysł drzewny Na 67 tartaków. które na kwestjonarjusz odpowiedziały, połowa prawie powstała w ostatnich 10 latach. Jest to przemysł wywozowy, który dostarcza desek na Węgry, do innych krajów monarchji, do Niemiec, Rosji,Szwajcarji i t. p Wartość rocznego wytworu tartaków oblicza dr. S na 45 mil. koron. Natomiast fabryki wyrobów drzewnych: mebli giętych, posadzek, klepek, kopyt szewskich, korków i t. p. są dopiero w zaczątku, a całą ich wytwórczość obliczono na 5·2 mil. koron, gdy w Królestwie wytwór ich doszedł do 10 mil. rubli. Przemysł ziemno ceramiczny (cegielnictwo, kaflarstwo) wchodzi na drogę fabryczną, jakkolwiek z natury swej produkcji wytwarzać musi tylko wyjątkowo na wywóz (3 cegielnie), a rozwój swój zawdzięcza znacznemu ruchowi budowlanemu w kraju. Zaliczyć tu jeszcze trzeba 8 hut wyrabiających szkło i 4 zakłady wytwarzające lustra i witraże.

Przemysł Królestwa, gdzie nad innymi górują przemysły włókniste, obliczone głównie na wywóz, góruje nad Galicją rozwojem gałęzi przetwórczych. Czy jednak ściślejszy związek galicyjskiego przemysłu z terytorjum. z którego czerpie przeważnie materjały surowe, nie jest objawem dodatnim? Sądzę, że tak.

Pod względem formy prawnej, przeważa w Galicji przedsiębiorstwo jednostkowe, obracające przeważnie kapitałem własnym. Kapitał pożyczony dochodzi najwyżej do 50 prc. Spółek kapitalistycznych wszelkiego rodzaju liczono 696. Należała do nich prawie piąta część wszystkich przedsiębiorstw. Wśród tych zrzeszeń było towarzystw akcyjnych 56, z których tylko 16, z kapitałem 35 mil. koron opierało się o kapitał krajowy i miało swe siedziby w kraju. W Królestwie liczono 157 tow. akcyjnych, z tego 9 w węglowym, 13 w hutniczym, a 135 w fabrycznym. Jest to cyfra trzy razy większa. Niewiadomo o ile oparta o kapitał krajowy.

Skoro przypomnimy sobie, że w tym samym czasie w Niemczech liczono 5295 towarzystw akcyjnych z kapitałem 15 i pół miljardów marek. nie imponuje nam ani Galicja ani Królestwo. Nie upadajmy jednak na duchu. Wszak chodzi nietylko o stan przemysłu, ale także o jego postępy. W 1905 r. było podobno w Galicji tylko 24 tow. akcyjne, a zatem przybyło ich przeszło 100 prc. w ciągu lat 7-miu.

Bardziej pesymistyczny nastrój wywołać może wgląd w handlową stronę przedsiębiorstw, która jak u nas zawsze stanowi ich achillesową piętę. Na własne organizacje zbytu zdobyły się zaledwie gorzelnie (Związek przedsiębiorców gorzelni rolniczych i Zjednoczenie galicyjsko bukowińskich fabryk spirytusu i drożdży prasowanych) oraz nafciarstwo (Związek producentów ropy), ostatnie w obronie przed destrukcyjną akcją rafinerji. Nawet rachunkowość jest przeważnie zaniedbaną: trzy czwarte zakładów przemysłowych w Galicji nie posiada systematycznie prowadzonych ksiąg handlowych.

Na podstawie obfitych i sumiennie zebranych danych, z których przytoczyłam kilka przykładów, dr. S. dochodzi do wniosku, że przemysł nasz na ogół dość pierwotny nie przybrał jeszcze wyraźnego charakteru. Obok desek, kloców, ropy, węgla, kamienia i piasku wywozimy wyroby pierwszorzędnej jakości Biała np. wysyła na rynki amerykańskie i francuskie sukna i korty najlepszego gatunku. Przybory kościelne a raczej cerkiewne z fabryk krakowskich idą do Rumunji i Bułgarji. Narzędzia wiertnicze i przybory nafciarskie z fabryk galicyjskich wędrują do Baku, Rumunji, Kanady i Australji. Dziwnie też wygląda zestawienie 2 specjalności galicyjskich: najlepiej drukowane książki polskie rozchodzą się po wszystkich ziemiach polskich, a 4 fabryki rytualnych ubiorów żydowskich (tałesów) rozkupywane są przez rozprószonych po całym świecie wyznawców judaizmu.

Wśród przemysłowców polaków spotykamy przedewszystkiem rolników, którzy produktom swoim nadać chcą wyższą wartość, zasobniejszych rzemieślników, którzy czasem utykają w pół drogi i tworzą pół fabryczki, a wielekroć stopniowo rozszerzają przedsiębiorstwo i dają mu solidniejsze podstawy. Niekiedy kupcy hurtowni przeobrażają się w fabryka tów: tak powstały fabryki wyrobów drzewnych, przy handlu lasem, żelaznych, założone przez handlarzy żelaza, chemiczne,których twórcami są aptekarze.

Kapitał obcy wkracza w Galicji przedewszystkiem do górnictwa naftowego i węglowego. W pierwszej dziedzinie skupia on przeważnie „drobną i niegospodarnie prowadzoną wytwórczość miejscową", podejmuje zadanie organizatorskie i korzysta zeń, biorąc w swoje ręce rafinerje. W przemyśle węglowym wykupił kapitał, przeważnie niemiecki, większą część wyłączności górniczych okręgu chrzanowskiego. Na obcym kapitale oparte są również przedsiębiorstwa metalurgiczne, cementowe, drzewne i częściowo tkackie. Wśród ostatnich zaznaczyć warto, że z dotacyi krajowego funduszu przemysłowego wprowadzono do Galicji mechaniczne tkactwo bawełniane.

Zatrzymać się jeszcze muszę nad rozdziałem, w którym dr. S. ocenia przyszłość przemysłu w Galicji. Nie zamykając oczu na pierwotność dotychczasowego dorobku i wszystkie ujemne strony tegoż, stawia on tu bardzo pomyślne horoskopy.

Mamy zasoby węgla, który w ilości 24.9 miliardów ton znajdować się ma w zagłębiu zachodnim Galicji. Takie kopaliny jak nafta i sól stanowią bogactwo naturalne, które jest podstawą przemysłów wywozowych. Najważniejszym jednak jest zasób pracy. Autor przypomina obliczenie Bujaka, że Galicja ma 1,200.000 sił roboczych zbytecznych w rolnictwie, a zatem po za pracującemi już w przemyśle wielkim i drobnym, olbrzymie ilości praco-

wników domagają się zużytkowania. Wreszcie i samo położenie geograficzne Galicji uważa dr. S za korzystne dla rozwoju przemysłowego.

Porównywując stan przemysłu w Galicji i Królestwie polskiem stwierdzić trzeba to, czego zresztą spodziewać się było można, że 1) Wytwórczość Królestwa jest dużo wyższą, wynosi bowiem 860 mil. rubli (według obliczeń Jeziorańskiego 670 mil. rb.), Galicji zaś, jak ocenia dr. S, 550 mil. koron. 2) Liczba zatrudnionych robotników jest w Królestwie 4 razy wyższą (401 tys., wobec 107 tys.) Obie te różnice na niekorzyść Galicji są prostym następstwem późnego jej uprzemysłowienia. Pozatym przemysł w Królestwie posiada 3) wyższość pod względem ustrojowym, przez swą ogromną przewagę towarzystw akcyjnych Wreszcie 4) kierunek tego przemysłu jest przedewszystkiem eksportowy, o czem świadczy przewaga przemysłów włóknistych, produkujących na wywóz do Rosji.

Wspólną obu naszym dzielnicom właściwością jest przewaga kapitałów zagranicznych nad krajowymi. Brak tu dokładnych danych, ale dominują one jak się zdaje jeszcze bardziej w Królestwie niż w Galicji, zaś stosunek kapitału obcego do krajowego reguluje w pewnej mierze krajowy fundusz przemysłowy, który doszedł już do 10 mil. koron i coraz umiejętniej jest zużytkowywany

Nie dość wyzyskanym jest wpływ czynników politycznych polskich na rząd centralny Opieka państwa mogłaby w okresie początkującym, w jakim się jeszcze przemysł galicyjski znajduje, ułatwia szybszy i prawidłowy jego rozwój. Jako przykład, że interwencję państwową można niekiedy zjednać, podaje dr. S. uzyskane w górnictwie węglowym ustępstwa, oraz pomoc rządu w chwili przesilenia naftowego. Jedno i drugie dokonało się pod naciskiem żądań ze strony interesowanych Pomoc rządu nie jest przeto wykluczoną, należy tylko, aby nasze przedstawicielstwo parlamentarne baczną i stałą otaczało przemysł opieką.

W zaborze rosyjskim jest niewątpliwie gorzej, a jakkolwiek tam przemysł sam sobie już radę dać może, prześladowanie na drodze taryf różniczkowych i specjalnych przywilejów dla okręgów centralnych, bardzo może być dla przemysłu szkodliwe.

Za drogi do pchnięcia naprzód przemysłu w Galicji uznaje dr. S. rozwój ducha kapitalistycznego, rozpowszechnienie wyższej organizacji ustroju gospodarczego, jaką stanowią kooperatywy, oraz zużytkowanie dla przymysłu tych rezerw, jakie posiadają nasze kasy oszczędności, stowarzyszenia zaliczkowe i spółki Raiffeisena. Wedł g obliczeń dra Lewickiego te drobne kapitały nagromadziły potęgę 658 milionów zaoszczędzonych zasobów. „Gdyby te miliony były uruchomione, sprawność nasza gospodarna byłaby o wiele lepsza“.

Tak więc właściwie we własnych naszych rękach leży przyszłość przemysłu w Galicji. Społeczeństwo nasze powinno iść drogą samopomocy i pod tym względem wiele Galicja od Królestwa nauczyć się może.

Demokratyzacja szkoły.

Skargi na niski poziom umysłowy dzisiejszej młodzieży nie ściągają się bynajmniej do wyszarzałego frazesu, że „dawniej było lepiej“. Wychodzą one od ludzi prawdomownych i bezstronnie obserwujących. Młodzież przybywająca na uniwersytet, jest niedostatecznie przygotowana, a z pośród tej młodzieży ci, co uczęszczają do szkół realnych, nawet u rówieśników uchodzą za ludzi bez kultury.

Nauczyciele uniwersyteccy obniżają poziom wykładów, aby uprzystępnić naukę plejadom dziewcząt, zaopatrzonych w różne patenty „z prawem publiczności“ komisje egzaminacyjne dla kandydatów stanu nauczycielskiego są niezadowolone z typu nowoczesnego nauczyciela szkół średnich. Oto plon nowożytnej, demokratycznej szkoły, we własnym oświetleniu.

I odezwały się głosy o mniej uzdolnionych warstwach społecznych, usłyszeliśmy rady o koniecznym zepchnięciu sił niedorastających do swego zadania w głębinę proletarjatu, usłyszeliśmy wreszcie utopie w guście pomysłów Lutosławskiego, o potrzebie jednej przynajmniej szkoły dla najzdolnieszych, którzyby mieli innymi kierować, innych reprezentować, za innych myśleć.

Tymczasem aparat szkolny odbywa swe funkcje z przykrą nieraz bezcelowością Dom nie zapytuje ucznia, jakie zdobył wiadomości, czyni jeno wszelkie usiłowania, by od szkoły wydostać patent a ponieważ papierowy pancerz świadectwa dopomaga w zdobywaniu pewnych pozycji w walkach ekonomicznych, taktyka, jaką się dom posługuje, pozbawiona jest często etyki.

Czasy nasze zapędzają młodzież olbrzymimi gromadami do szkół, a bat, skręcony z łez i błagań rozpaczających matek okazuje się często skuteczniejszym wobec nauczyciela niż wobec własnego dziecka. Nauczyciel, to wróg, robiący ludziom trudności w walce o byt. Rodzicom idzie o postulat negatywny, pozbycia się ciężaru ekonomicznego, jakim jest niewątpliwie każde dziecko uczęszczające do szkół, i o postulat pozytywny, zdobycia patentu. Te dwa żądania są dla domu generalnym rozgrzeszeniem n i e p r a w i d ł o w o ś c i a nawet n i e p r a w o ś c i w stosunku młodzieży do szkoły. Wolno kłamać, wolno oszukiwać, byleby tylko zbliżono się do upragnionego celu. Są szkoły i klasy, gdzie uczeń prawego charakteru nie może się utrzymać. Jak miłą jest w takich warunkach praca nauczyciela, jakiej trzeba żelaznej siły, aby w tej walce się nie poddać, nie trudno sobie wyobrazić.

W dodatku nauczyciel napotyka często na zarzut, że nie patrzy na szkołę pod kątem wieczności, a co zabawniejsza, że stawiają takie żądania ludzie którzy w życiu sami nikomu nie darowaliby niczego, nie potrafiliby zrobić nikomu najmniejszej, dobrowolnej koncesji.

Tak to walka rozgrzesza nie tylko z obowiązków wobec sumienia, ale nawet wobec prostego rozumu. Życie przecież składa się z miljardów drobnych elementów, a kto zaprzepaszcza elementy, zatraca całość. Tej zasady trzymają się wszyscy normalni ludzie, nie wolno tego czynić jedynie nauczycielowi

Nie jest prawdą, jakoby zadanie nauczyciela ograniczało się do roli uczącego. Nie jest prawdą, jakoby nauczyciel nie miał nic wspólnego z rolą sędziego. Przeciwnie. Nauczyciel jest odpowiedzialnym powiernikiem wszelkiego ładu społecznego, i z o b o w i ą z k u kwalifikuje zdolności dorastających generacji Tej podwójnej roli wymaga nowoczesny, skomplikowany aparat społeczny, a powrót do stanów pierwotniejszych, gdzie szkoła miała tylko nauczać, a nie osądzać wydatności intelektualnej i moralnej swoich pupilów, wzorowałby się na stosunkach greckich i rzymskich, przez któreto

upodobnienie ustrój szkolny sam zadałby sobie cios śmiertelny. Szkoły greckie obejmowały bowiem tylko znikomą liczebność społeczną, szkolnictwo rzymskie — o ile o takim wogóle może być mowa — istniało jedynie w jednej warstwie społecznej, w dodatku tu i tam mamy przed sobą tylko bardzo krótki okres czasu, bo czymże jest okres rozkwitu „idealnych" szkół greckich wobec długiego rozwoju narodów późniejszych.

Nie mamy tu oczywiście na myśli tresury elementarnej państwowych zakładów wychowawczych greckich, ale szkolnictwo wyższe, odpowiadające naszemu gimnazjum wyższemu oraz uniwersytetowi.

Żądanie więc, że nauczyciel nie powinien stawiać trudności w osiąganiu patentu wyzwalającego, że powinien tylko uczyć a nie osądzać także pracy ucznia, jest albo zwykłym kawałem demagogicznym albo polega na pomyłce.

Dom dzisiejszy ma jednak wielkie trudności w przysposabianiu i przystosowywaniu młodzieży już nietylko do wymagań szkoły, ale do życia kulturalnego w ogóle.

(C. d. n.) *St. W—y.*

Z poezji Jarasa Szewczenki

Przekłady Sydora Twerdochliba.

I.

W TRZYNASTE LATO SZŁO MI ŻYCIE...

Przetworzenie.

W trzynaste lato szło mi życie,
Gdym pasał owce wedle wsi.
Czy Bóg sam jaśniał w nieba szczycie,
Czy jam śnił szczęścia cud w zachwycie,
Jak tylko dusza dziecka śni —
Tak błogo było mi w te dni,
Jakgdybym pasał trzodę Boga.

Zwołują już i na południe,
A ja w burzanach, paląc chrust,
O domu Boga marzę cudnie...
Zwidują mi się raje złudnie,
Modlitwa sama płynie z ust!
Igrają owce pośród bruzd,
Łagodnie świeci oko Boga...

Czy z piekieł trysła struga wrząca,
By prędko zwarzyć ten mój raj,
Czy też jarząca żagiew słońca
Spaliła rajski sen bez końca —
Zczerniało sioło, step i gaj,
Zbladł nawet niebios siny kraj,
I już nie śniłem chwały Boga!

Spojrzałem. Owce, wełny wiechy —
A ja ni owcy nie mam tam...
Posłałem wzrok na złote strzechy —
Bóg nie dał piędzi, jak za grzechy...
W calutkim świecie jestem sam...
Załkałem, myśląc o tem... Łkam
I na głos żalę się na Boga...

A tam, przy drodze gdzieś, dziewczyna,
Ukryta pośród smukłych traw,
Konopie czy też len dożyna,
Pod sierp ostatnią naręcz zgina,
A kładąc suszyć ją nad staw,
Płynącą zkądś z burzanów ław
Zasłyszy skargę mą na Boga.

Podeszła do mnie uśmiechnięta
Jak ten na łanie maku kwiat.
Całuje w usta... Pachnie mięta...
Dziewczyna zgania me jagnięta —
Choć one cudze, patrzę rad
I myślę „mój ten cały świat..."
I w sobie samym czuję Boga.

— — — — — — — — — — — — —

Dzieciństwa!.. Jednak, kiedy wspomnę,
To taki mię ogarnia smęt,
Że ja, pacholę to bezdomne,
Nie orzę dzisiaj skiby skromnej,
Że nie umarłem jako pęd —
Nie znając chimerycznych pęt
I nie przekląwszy ludzi, Boga...

II.

CHUSTA.

(Z motywów ludowych).

Nie hulała w dzień niedzielny.
Na jedwabny strój weselny
Zarabiała w noc i zrana,
Przyśpiewując pieśń do wiana:

„Chustę, szytą w ścieg,
Białą niby śnieg,
Wyhaftuję, podaruję,
On mię za to pocałuje...
Biały rąbek mój
Malowany strój!
Już mi kosa rozczesana,
Ze swym miłym chodzę zrana...
Szczęsna dola ta
To matula ma!
Żdziwią się sąsiadki puste,
Że sierota strojna w chustę,
W biały rąbek ten
Haftowany w len.

Wyszywała nicią cienką,
Poglądając wciąż w okienko,
Czy nie klekcą woły w rogi,
Czy nie wraca czumak z drogi...

Na mokradłach brząka kumak
Z za Limanu wraca czumak.
Cudze statki, cudze woły...
Śpiewa czumak niewesoły:

„Dolo ludzka, dolo!
Czemuś nie jednaka?
Hej, dolo czumaka!
Czym ja pił po nocy?
Czym się stracił z mocy?
Czy do ciebie moje nogi
W step nie znają drogi?
Czy-ż ja swoich darów tobie
Nie ślę w każdej dobie?
Ślę, co mam, ochoczy:
Moje czarne oczy...
Młode siły me junacze
Kupili bogacze;
Przez nich sprawia może inny
Z miłą zrękowiny...
Naucz wtedy pić czumaka,
Dolo moja zła!"

I na oczach nieboraka
Zaświeciła łza...

Hej zajęczał puszczyk płowy
W stepie na mogile;
Chyli troska młode głowy:
Do wsi cztery mile..
„Pobłogosław, atamanie,
Zoczyć wieś oczyma,
I do popa na tapczanie
Zanieść pobratyma!“

Nie pomogła spowiedź święta,
Na nic i znachory;
Skrzypią wozy w dalszą drogę,
Rusza czumak chory...
Czy to pracą utrudzona
Jego młoda siła?
Czy tęsknica go wśród stepów
Z białych nóg zwaliła?
Czy też jego czarne oczy
Ludzie źli urzekli,
Że na wozie go do domu
Towarzysze wlekli?...
„Boże! gdyby wieś i miłą
Ujrzeć choć zdaleka!..“

Nie wybłagał!.. A niczyja
Łza nie rosi wieka...

Postawili krzyż czumaki
W stepie nad sierotą,
I poszli w świat, jak majaki...

Jak liść, strącon słotą,
Odszedł junak z tego świata,
Wszystko zabrał oto..

A gdzież chusta wyszywana,
Gdzie jedwabny rąbek?
Gdzież dziewczyny śpiew do wiana
I jej śmiech gołąbek?
W chustę na stepowym krzyżu
Wieje wiatr wśród lata,
A dziewczyna w monastyrzu
Warkocz swój rozplata...

III.

POMÓR.

Włóczyła się z łopatą dżuma,
Szczerbata baba, czarta kuma,
Mogiły kopiąc w czarnej niwie,
Gdzie kładła trupy człecze mściwie,
A nie śpiewając requiem zgoła.
Wszyściutko zmiata w mig dokoła.

Na wiosnę. Kwitnie wokół ziele,
A sady, druchny w białem płótnie,
Umyte rosą, proszą butnie
Z dziewuchą ziemią na wesele.
Dziewoja, idąc poprzez wieś,
Na licach kalin ma rumieniec,
Na czole gajów ciemny wieniec,
A biedny naród co dnia bladszy.
Jak wystraszone jagnię patrzy...
Po chatach wszystko skryte gdzieś,
Pogląda trwożnie, co świtanie,
Czy to już dzisiaj śmierć w drzwiach stanie...

W ulicy ryczą głodne woły,
A konie wloką się w konopie,
Rozniósłszy zgniłe częstokoły —
A znikąd nie wybieży chłopię,
Do stajni zagnać, owsa dać.
Jakgdyby wszystkich zmorzył sen...

Posnęli... Twardy sen to snać,
Gdy przepomnieli święty dzień:
Niedziela — znikąd dzwon nie huczy!
Bez dymu sterczą chat kominy;
A za wsią rosną co godziny
Mogiłki, jakby rył je kret...
I miejsca już nie będzie wnet!...

Gdzieś z głębi sadów, z jakiejś kuczy
Zaszyci w skóry, smołą zlani,
Grabarze wyszli, jak pijani.
Z chat łańcuchami trupy wloką,
By je pogrzebać tam za tłoką
Bez trumny... Mija rzesza skora
Dni, niedziel. Zmilkło nieme sioło,
Śmiertelnie zcichło wszystko wkoło,
Porosło pokrzyw chwastem już.

Jedyny grabarz, żyw, z wieczora,
Pod chatą też się zwalił w kurz,
Nogami bijąc, tocząc pianą...
A nikt nie wyszedł z chaty rano,
By go pochować... Tam, pod chatą,
Nieszczęsny zgnił przez skwarne lato.

Jak oaza na ugorach
Sioło się zieleni.
Nikt nie wchodzi tam w tych porach,
Tylko wiatr co mieszka w polu,
Na podściółkę liść kąkolu
Zbiera na jesieni.

Długo jeszcze kąt ten głuchy
Stał opustoszały.
Aż podeszły z pól pastuchy,
Wieś podżegły zadżumioną,
I zgorzała... Wiatry wioną,
Wiatry ślad rozwiały...

Hans Jaeger.

O naturaliźmie i determiniźmie.

(Dokończenie).

Innymi słowy, społeczeństwo, mocą obowiązku moralnego względem jednostek, ma prawo ograniczyć wolność działania jednostek, co jest konieczne po to, aby **wszystkie** jednostki mogły osiągnąć pełnię wolności i rozwoju sił. W takim razie **nie może** silniejszy uciskać słabszego, chybaby tę granicę przekroczył. Wtedy jednak społeczeństwo pociągnęłoby go za to do odpowiedzialności — wprawdzie nie z żadnym prawem moralnym, lecz mocą ustaw.*)

Przystępuję tedy do innego zadania, które nastręcza się pisarzowi deterministe.

Jak mianowicie z jednej strony społeczeństwo mocą swego moralnego zobowiązania ma prawo

*) W tym miejscu trzebaby może zauważyć, że w całkowicie rozwiniętym społeczeństwie, które rzeczywiście spełnia swój obowiązek względem jednostek przez to, że wszystkim im politycznie, ekonomicznie, socjalnie i intelektualnie dało pełnię wolności i rozwoju sił, w społeczeństwie zatym, w którym jednostka ma całkowite zrozumienie tego, co jest zbrodnia, mianowicie bunt przeciw społeczeństwu jako społeczności — że wtedy w ustawie karnej nie byłoby innych kar, tylko kara śmierci lub deportacja.

Bo ktoby wówczas jeszcze popełnił zbrodnię, popełniłby ją już nie dlatego, że niemoralne stosunki społeczne oddziaływały niekorzystnie na jego naturę, lecz dlatego, że on swoją naturą wogóle nie nadaje się na członka wolnej społeczności. Wskutek tego społeczność musi go wykluczyć, chociaż nie od niego zależy, że jest taki, jaki jest.

ująć w pewne granice wolność działania jednostek po to, by wszystkie jednostki osiągnąć mogły pełnię wolności i rozwoju sił — tak z drugiej strony jest też moralnym obowiązkiem społeczeństwa zakreślić te granice właśnie tak, jak to jest konieczne ze względu n a t e n cel. Ni mniej ni więcej. Bo: jeśli się te granice nazbyt ścieśni, to wtedy — jak to się działo i pod władztwem moralności indywidualistycznej — z jednej strony pociągnie to za sobą bezpotrzebnie niwelację indywidualności, skutkiem czego zubożeje życie społeczne, z drugiej zaś uczyni zbrodniarzami takich ludzi, którzy nie musieli się stać nimi. A jeśli się te granice nazbyt rozluźni, to w takim razie da się możność silniejszemu uciskać słabszego

Gdy się zaś okaże, że w obecnym ustroju społecznym raz zakreśla się wolności osobistej za ciasne granice i tem spowodowuje się bezpotrzebnie niwelację indywidualności; niekiedy zaś zanadto się je rozluźnia, tak że silniejszemu istotnie nadarza się sposobność i możność uciskania słabszego i przeszkodzenia wolnemu rozwojowi jego sił politycznych, ekonomicznych, socjalnych i intelektualnych — wtedy rzecz jasna, że pisarz determinista jako tworzywo dla swych artystycznych kompozycyj chętnie wybierze właśnie dzieje rozwoju jednostek, które ucierpiały z powodu tych wad ustroju społecznego:

Aby wykazać jak i o ile zawiniły niemoralne instytucje społeczeństwa w wypaczeniu i skarłowaceniu, w nieszczęściu i nędzy indywidualności.

Gdy się naprzykład okaże, że istniejące prawo własności ekonomicznie silniejszemu daje prawo uciskać politycznie, gospodarczo, socjalnie i intelektualnie słabszego ekonomicznie i że taki stan rzeczy rodzi wielkie społeczne zła: nędzę, zdziczenie, ciemnotę; gdy się okaże, że instytucja rodziny albo małżeństwa wskutek swego nienaturalnego rozdziału płci, u poszczególnych jednostek stwarza to tło wyuzdania, które w połączeniu z nędzą, zdziczeniem i ciemnotą sprowadza wielkie zło społeczne, zwane nieobyczajnością; gdy się okaże wreszcie, że te zła społeczne ustawicznie żądają mnóstwa ofiar — wtedy, rzecz jasna, pisarz determinista jako tworzywo dla swych artystycznych kompozycyj chętnie wybierze dzieje rozwoju właśnie tych indywidualności, które padły ofiarą tego zła społecznego

Jeśli to jednak uczyni, to go się znowu napada pomawianiem o „spokrewnienie z tem, co nizkie, złe, nieprzyzwoite wstrętne“. Naturalista może się zwrócić, gdzie zechce; może się jąć tego lub owego zadania, które mu nasuwa jego światopogląd — zawsze plwać mu w twarz będą tymi wyświechtanymi gadaniami Subtelni, moralni charłacy, zwący się ludźmi uspołecznionymi, n i e c h c ą, by ich stawiano oko w oko z nędzą ich ofiar

Cóż obchodzi tych ludzi z ich sobkowstwem, ludzi, którzy nigdy nie wiedzieli,co to jest zmysł społeczny, że niektórzy cudzy ludzie nie mogą się czuć dobrze w ich porządnym, wygodnym społeczeństwie i dlatego — giną! Co ich obchodzą cudzy ludzie.

Cudzy ludzie...? A jeśliby kiedyś razem z tamtymi także ten i ów z ich własnej sfery zginął?! — Kto wie, może toby ich wzruszyło?...

Kto wie — może to i warte próby.

Jest w naszym społeczeństwie m a ł a g a r s t k a l u d z i — n a j c z ę ś c i e j s ą t o s y n o w i e d z i e l n y c h r o d z i c ó w — d l a k t ó r y c h b i e d n e b e z d u s z n e ż y c i e w n o w o c z e s n y m s p o ł e c z e ń s t w i e n i e m a n a t y l e u r o k u, b y w i d o k i, ż y ć t a k i m ż y c i e m, m o g ł o w p r a w i ć w r u c h i c h e n e r g j ę — ludzie, dla których nowoczesne społeczeństwo jest płaską rozpaczliwą pustynią piaskową, gdzie oni nigdzie osiedlić się nie mogą, gdzie wałęsają się tylko i tęsknią za życiem. Ta mała garstka — to przedwcześnie narodzone dzieci przyszłości, jej pierwszy siew, to męże z wielkimi wymogami, wymogami przyszłości które zaspokojone być mogą dopiero przy swobodniejszych, bogatszych i piękniejszych formach społecznych, jakie stworzyć zawarowane jest przyszłości — j e s t t o r o z p i e r z c h ł a p o k r a j u b e z d o m n a b o h e m a. Także ładny wytwór nowoczesnej kultury.

Jakiż przebieg ma życie tych bezdomnych?

Przepędzają oni swą młodość po części na tym, że czynią bezpłodne próby, na zewnątrz znaleźć cel, odpowiadający głębokiemu dążeniu w ich piersi, po części na próbach, również bezpłodnych, ukoić to tęsknoty pełne dążenie zapomocą wszystkich tych duchowych narkotyków, które im stawia do wyboru stara, aż do jądra stęchła społeczność. A kiedy nareszcie poznali już bezpłodność tych prób i padła na nich beznadziejność — wtedy pewnego pięknego dnia ocykają się i uświadamiają sobie położenie Wtedy ogarnia ich wściekłość na to dzielne porządne społeczeństwo, które całkiem spokojnie, z zimną krwią zmarnowało ich życie — i przez jedną chwilę myślą o tym, by zerwać się do walki z tą całą szatańską porządnością i dzielnością. Wtedy jednak jest już zapóźno. Młodość ich już się skończyła; nadwerężona jest ich energja, a może i ich siła do pracy. I gdyby nawet mogli czegoś dokonać — to przecież o n i nie mieliby sposobności, spożywać owoce swej pracy.

A doprawdy nie mają oni najmniejszej ochoty, rzucać się w wir pełnego wysiłków pracowitego życia, z którego zebrać mają żniwo nie oni sami a tylko inni; oni nie są już tak młodzi, by mógł ich zadowolić miast życia — jego surogat: walka o uratowanie tych, którzy nastaną później. Przynajmniej, taka walka nie może ich na tyle zapalić, by oni mogli przyzwyciężyć swoje znużenie i bezenergję.

Tak więc rozpływa się w nicość wściekłość pierwszej chwili, znowu pada na nich spokój beznadziejności i w zblazowaniu pędzą dalej swój żywot. Życie przybiera dla nich coraz mroczniejszą i mroczniejszą postać, beznadziejność stopniuje się w rozpacz, a w mózgu lęgnie się myśl o samobójstwie. I w następstwie — rzeczywiście odbierają sobie życie, jeśli instynkt zachowawczy nie jest dość silny, by tę konsekwencję zrównoważył. W tym ostatnim wypadku, ratują się bylejakim małym stanowiskiem, na którym starają się utrzymać przy życiu — aż w końcu natura, ulitowawszy się nad nimi, zsyła im śmierć której, gdyby byli rozsądni, to już od dawna sami wezwać byli powinni.

Jak widać: także bardzo piękne zadanie dla pisarza deterministy. Ale też znowu niewdzięczne tworzywo „pokrewne z tem,co nizkie, złe, nieprzyzwoite, wstrętne“.

A przecie chodzi tu o własne drogie potomstwo dzielnych obywateli, o ich dzieci boleści. Ich w ł a s n e, mało tego, najlepsze, najbardziej do rozkwitu zdolne z pośród ich własnych dzieci, giną w ten sposób.

A co, gdyby można dzielnych obywateli mistrzowskim przedstawieniem koleji żywota tych nieszczęśliwców, którzy padają ofiarą ubóstwa społecznego życia, nakłonić do tego, by nawskróś

spojrzeli, przez „nizkość i zło i nieprzyzwoitość i ohydę“ — tak, żeby musieli przez chwilę patrzyć wprost w osłupiające oczy tragicznego losu?

Kto wie?...

Ale niech będzie, co chce! — Jedno jest pewne: bohema wzrasta, staje się coraz liczniejsza, coraz więcej tych bezdomnych, którzy nie mogą utkwić korzeniami w glebie starej społeczności i skutkiem tego niszczeją i giną. I gdyby można tych nieszczęśliwych zaraz na początku kolei ich życia doprowadzić do tego, by sami jasno i w całej rozciągłości uświadomili sobie ten los, który im gotuje stara społeczność — to święty gniew by ich porwał, że tak oto najszlachetniejszą krew całego rodzaju, siew przyszłości, rzuca się na ofiarę molochowi starego czasu. I z tą zdolnością do entuzjazmu, którą posiada tylko młodzież, powstaliby wszyscy, jak jeden mąż, do planowej, cierpliwej, do ostatka wytrzymałej walki... A w tej walce znaleźliby powetowanie za zakazane im życie.

Tłómaczył Sydir Twerdochlib.

Emil Wilhelm Silberstein.

„Taka“.

(Z cyklu: Mimochodem).

Zima uwięziła białym całunem błoto uliczne.

Obok mnie przeszła nędznie odziana dziewczyna, patrząc wzrokiem katowanego psa. Zorjentowałem się w chwili, że ulica to nie jej ojczyzna, a wzrok ten dziwny zrodził się z ojca głodu i matki rozpaczy. Zdziwiło ją, żem ją zagadnął nie jak donżuan uliczny. Zauważyłem u niej pewną ostrożność.

— Pan tak ładnie mówi, pan pewnie poeta? Ale ja dla poetów nie mam czasu.

Zauważyłem pod maską banalności i cynizmu ziębnący fiołek biczowanej duszy.

— Panie, pan się nie wstydzi iść razem z taką jak ja?

— Czy dlatego mam się wstydzić, że pani biedna?

W małej cukierence odtajała trochę, blada, inteligentna twarz ożywiła się.

Prosiłem, by mi opowiedziała swą historję. Milczała.

Wolę, że pani milczy, niż żebym jako rewanż za szklankę herbaty usłyszał fantastyczne kłamstwo.

— Powiem panu wszystko, wszak taka, jak ja, nie potrzebuje się wstydzić...

Po śmierci mego ojca, matka wyszła „z miłości za mąż“ za młodszego od niej prowizora z naszej apteki. Kochałam się oddawna w ojczymie, który ponad moją pierwszą miłość przeniósł rentowną aptekę mej matki. Matka, opętana zazdrością, zatruwała mi życie. Porzuciłam dom. Ojczym dał mi trochę pieniędzy, więcej jednak dobrych rad na drogę. Matka była zadowolona, że „wyrodna córka, do kazirodztwa zdolna“ wyjeżdża.

W pierwszych miesiącach mego pobytu w Lozannie ojczym przysyłał mi drobne kwoty; biedowałam i chodziłam na wykłady farmakologii. Później zapomogi z domu ustały. Na moje listy nie otrzymywałam odpowiedzi. Widocznie ojczym namyślił się: mężczyźni nie lubią ideałów na odległość.

Jęłam się pracy, wstąpiłam do apteki. Później chorowałam długo. Podczas mego pobytu w szpitalu wspomagał mnie mój szef drobnymi kwotami, lecz gruźlicznej nie chciał przyjąć z powrotem do służby. Za pieniądze z konzulatu wróciłam do kraju, czując się bardzo chorą. Z kilku groszami dojechałam. Na dworcu jakaś stara, odrażająca kobieta wypytywała mnie, czy nie szukam noclegu i oświadczyła gotowość zapewnienia mi życia bez trosk. Odrzuciłam jej propozycję. Po bezsennej z obawy nocy w podrzędnym hotelu wyszłam rano na miasto, oglądnąć się za pracą.

Pan nie wie jak trudno dziewczynie o pracę. Wszędzie śliskie łapy pożądania. Upadek jest protekcją biednej.

Zaciskałam zęby, by nie dać wybuchnąć rozpaczy, nęciła mnie myśl samobójstwa.

Zapadał wieczór. Nie znalazłam pracy, nie miałam ani grosza na nocleg. Błoto wsiąkało w moje podarte trzewiki. Jakaś strojna, rozbawiona kokota przeszła obok w wesołym towarzystwie. Głód począł argumentować człowiekowi we mnie. Wzdrygnęłam się, ujrzawszy w wielkiej szybie wystawowej moją wynędzniałą twarz i mizerny kostjum.

„Poco biedujesz cnotliwa“, mówiła do mnie wielka szyba magazynu konfekcji damskiej.

Uciekłam. Byłam głodna i ziębnięta. Nogi mi przemokły. Pierwszemu staremu lowelasowi oddałam się za parę trzewików i kolację.

Pan dziwnie zmieniony, pan się zawiódł? A był pan kiedy bardzo głodny i bardzo biedny i sam na świecie?

Od kilku dni jestem robotnicą w fabryce cukierków. Pracuję w oddziele opakowań, „do innej pracy nie jestem zdolna“, jestem za słaba. Z płacy dwudziestu koron miesięcznie płacę za mieszkanie pięć koron. Mieszkam za rogatką, blisko fabryki. „Mieszkam“.

U mego gospodarza zeszli się dzisiaj koledzy i przyjaciółki jego żony. Nie mogłam wytrzymać wśród tych ludzi; zmuszali mnie do picia, a gdym się wzbraniała, rozpoczęła się orgia szyderstw: „Panienka, arystokratka“...

— Czego pan płacze?... Ile pan ma lat?

Zapytałem, czy odprowadzić ją do domu.

— Ja nie mam dzisiaj domu, między to bydło dzisiaj nie wrócę.

Wynająłem dla niej pokój w hotelu.

— Niech pan zostanie ze mną, boję się tych ścian, na które nocą wypełzają widma dławiących skorpionów wielkiego miasta.

Do świtu siedziałem na straży obok śpiącej.

Rano w parku wcisnąłem jej w dłoń pieniądze.

— Ja nie mogę wziąć tych pieniędzy, bo ich oddać nie będę mogła, a jałmużny nie chcę. Albo... dobrze, wezmę, ale pod warunkiem.

I badawczo spojrzała mi w twarz, a potem się po swojemu uśmiechnęła.

Zrozumiałem. Brud życia sparodjował jej pojęcie godności, z dumy zostawiając tylko lęk przed jałmużną.

Zacząłem jej tłómaczyć, że na warunek zgodzić się nie mogę, że mój altruizm jest w gruncie rzeczy zwykłym egoizmem: robienie dobrego wywołuje we mnie przyjemne uczucie.

Popatrzyła badawczo.

— Jeżeli zmuszasz mnie pan przyjąć pieniądze, biorę, by nie zakłócać panu przyjemnego uczucia, wypływającego ze świadomości dobrego uczynku — cedziła zwolna.

— Ale jako rewanż przyjąć musisz receptę odemnie, aptekarki, receptę, co ci się w życiu przyda. Pamiętaj: gdybyś nawet miał siły tytana, nie udźwigniesz ciężaru, który ciągnie w dół siła bezwzględna podłości świata, a ciebie, „niepra-

ktyczny" tytanie, praktyczny świat nazwie tylko przeczulonym donkiszotem.

...Jak ciemnym musi być loch więzienny po chwili swobody, ozłoconej słońcem! —

Szliśmy kilka chwil w milczeniu.

— Pocoś ty przyszedł? Myślałam, że nie spotkam już człowieka i zmęczona będę mogła spokojnie udusić się w błocie. A może nie będzie tak strasznie. Może mi łatwo przyjdzie okupić swą rację bytu. Idealiści przez pewien czas martwić się będą. — Zaśmiała się po swojemu.

— Nie zobaczymy się nigdy, nie chcę. Zresztą, idealisto, poco masz pokutować za cudze grzechy?—

Nękała mnie gorzką swoją ironją.

— Słuchaj, nie ratuj duszącego się na trzęsawisku, bo sam utoniesz. A szkoda! Tęp źródła złego, lecz ofiarom pozwól zginąć spokojnie. A unikaj ulicy, tyś za wrażliwy na zło, jakie wytwarza ulica, na nieszczęście, któremu domem ulica. —

Poszła. —

Emund Semil.

Użycie i wyżycie.

Gdy ogarniamy przeszłość naszego życia, badając każdy jego poszczególny moment, dostrzegamy, że każda chwila była mniej lub więcej wyzyskaną, że jesteśmy zadowoleni z jej przebiegu, lub żal porywa nas, iż nie wykorzystaliśmy sposobności, albo, żeśmy ją źle wykorzystali. Szereg tych momentów, które pozostają dla nas jako wrażenia i tkwią silnie w pamięci — oto co nazywamy życiem i przeszłością naszą Momenty takie gromadzą się, tłoczą, wpływają na teraźniejszość, kształtują ją i znowu płyną niby jaki szereg punktów gdzieś - w nieskończoność — gdzie tylko śmierć potężną dłonią dzierży swoje władztwo, gdzie wszystkie wartości wyrównują się, a życie człowieka staje się nic nieznaczącym atomem w budowie wszechświata Wartość życia jako całości i ciągłości wobec nieskończonego bezmiaru śmierci — zbliża się do zera, wartość takiego życia wobec absolutu, do którego zdąża (bo nicość — jest absolutem) jest tem mniejsza im większe i potężniejsze, im silniejsze i bardziej wyraźne jest wyobrażenie człowieka o śmierci. „Być albo nie być" — nie jest wcale pytaniem tragicznym, gdy życie wyobrażamy sobie jako ciągłość. „Być" — wobec Nirwany — i „nie być" — to funkcje dodatnie i ujemne, które wykonywać będziemy na nieskończoności...

Wartości nabiera życie dopiero wówczas, gdy porównywać je będziemy — nie do śmierci — lecz do przeszłości i możliwej przyszłości naszej. Ale w takim razie musimy życie uważać za moment — za „teraźniejszość". Życie nabiera wtedy dla nas wartości, gdyż stosunek momentów przeszłych do momentu przeżywanego może być silnym a butnym gestem dumy, albo przepięknym obrazem — fata morgana nad przepaścią, lub wspaniałym uznaniem dla swej wiedzy i swego bogactwa. Życie staje się wtedy godnym istnienia gdyż możliwa przyszłość kreśli nam tęczowe sny, do których wytężamy ramiona, pręż ymy całe swoje jestestwo, w które wpijamy oczy, a serce przenika wtedy najwspanialsza nad wszystkie uczucia — tęsknota, nadzieja i wiara w nasze siły i nasze ja własne.

„Być" — wobec Nirwany — to być jako atom wobec wszechświata.

„Być" — wobec nas samych, wobec piękna naszej przyszłości — to zaiste być człowiekiem, człowiekiem wrażliwym, czującym, pełnym uczuć i namiętności, człowiekiem kochającym i nienawidzącym, człowiekiem, dla którego istnieje życie — a życie należy wykorzystać i wyczerpać do dna...

Co więcej — „być" oznacza tu zostawić po sobie pamięć, pamięć o swoim sposobie wykorzystania momentu. Żyć chwilą, teraźniejszością, całą pełnią świadomości tworząc sobie efekty momentu — to znaczy rzucać swój twór, własne dzieło, to życie wykute oryginalnością w przyszłość. Rzucać w przyszłość dlatego gdyż moment miniony pozostaje jako przedmiot pamięci, a jako przedmiot pamięci— jest wiecznym.

Gdy yśmy uważali życie za ciągłe, nie moglibyśmy wyobrazić sobie wieczności.

Pamięć naprzykład o Leonardzie da Vincim i jego dziełach nie byłaby już Leonardem samym.

Podczas gdy przy ujęciu życia jako momentu pamięć o jakimś poecie jest jeszcze poetą samym. Moment, który istniał, wchodzi w sferę pamięci i żyje jako przeszłość. Czy żyje w jednostce, która ten moment przeszła, a która de facto już się kompletnie zmieniła i jest inną, czy też żyje w jednostce faktycznie innej — to jest obojętne. I tu i tam z chwilą gdy moment minął, minęło życie, znikła jednostka, która je przebyła, jedynie fakt przyżyty sam przez się, pozostaje jako przedmiot pamięci, jako coś co nie ginie, co jest wieczne.

Wartość życia tkwi więc w momencie.

Od doskonałości naszego wykorzystania tego momentu zależna będzie przedewszystkiem rozkosz chwilowa, konkretna, istniejąca równocześnie z życiem i owa rozkosz, która przenosi się do pamięci i żyje jako wspomnienie, nieraz tak silne i tak wspaniałe, że nie ustępuje wcale rozkoszy, której zajęło miejsce. Wartość życia określać się będzie wartością przebytych momentów, wartością tego podkładu pamięciowego, z którym przystępujemy do przeżywania nowego momentu, jaki nam się nadarza

Nie każdy jednak moment z równie silną emocją przeżywamy. Raz minie on niepostrzeżenie, innym razem wbije się w pamięć, ogarnie sobą wszystkie ścięgna myśli, przepoi swą potęgą by zostać na zawsze i być podstawą do dalszych momentów.

Siła i wartość takiego momentu zależy od nas -- od naszego wstępnego zachowania się i od głębi dawnych przeżyć Albo wykorzystujemy każdy nadarzający się moment, na który baczniejszą zwracamy uwagę, albo szukamy celowo takich momentów, które najbardziej odpowiadają naszemu temperamentowi.

W pierwszym wypadku będziemy chcieli jak najwięcej użyć z tego co nam świat daje, w drugim wypadku będziemy się starali wyżyć wszystkie wartości naszej duszy, będziemy chcieli roztrwonić nasz skarb wewnętrzny, naszą jaźń, by potem kiedyś módz o sobie powiedzieć — „pięknie się żyło"...

Używając bierzemy to, co nam się nadarza, bez wyboru, z jedyną myślą aby jak najbardziej upiększyć i wykorzystać moment Jesteśmy rzuceni w świat, niby w jaką falę i dajemy się porwać prądowi, tam, gdzie on nas zawiedzie. Jesteśmy ludźmi bezwolnymi, gdyż wola nasza świadomie nie tworzy momentu życia, ale bierze go takim, jakim on sam przychodzi. I zależnie od ustosunkowania się warunków zewnętrznych odczuwamy go z większą lub mniejszą siłą. Pozostaje dla nas mniej lub więbej silnym wspomnieniem, które jest i nadal podstawą następnych momentów, które i nadal rzucone nam są, lecz nie przez nas osobiście tworzone.

Filozofia epikurejska, widząca w rozkoszy i użyciu, najwyższe dobro człowieka, konsekwentnie dochodzi też do determinizmu. Los człowieka jest dla niej już z góry przesądzonym. Człowiek jest bezwolnym, biorącym tylko to, co mu warunki zewnętrzne narzucą. Etyka epikurejska nie zna samoodpowiedzialności, bo nie uznaje woli człowieka. Jedynie Arystypp wyróżnia się między tymi filozofami. Uczył on wyraźnie, że prawdziwym celem nie jest wprawdzie szczęśliwość, będąca rezultatem wszystkich pojedynczych uczuć rozkoszy, lecz sama pojedyncza, konkretna rozkosz zmysłowa, jest celem.

Rozkosz będąca celem i moment do którego należy przygotować wszystkie swe władze duchowe byle tylko jak największą i najsilniejszą po sobie zostawił pamięć — oto podstawa prawdziwego wyżywania się człowieka.

Rozkosz jest tu celem, jest dawno zrodzonym planem i żyła już jako tęsknota, nim stała się konkretną. I dlatego rozkosz taka jest wyższą i bardziej wartościową. Jest przedewszystkiem rozkoszą celową. Człowiek z całą swoją wolą dąży ku niej, zdobywa ją wolą własną, a gdy jej nie zdobył, stoczył pewno walkę między wolą własną a wolą obcą, walkę, z której wyszedł zwyciężonym. Jako wolny człowiek, znający swe własne „ja", już z góry określił, które swoje cechy uwydatnić, aby czyn spełniony był jego czynem, lecz nie rzuconym mu przez otoczenie.

Czytając biografie wielkich ludzi, a przedewszystkiem takich, których życie było niemal poematem dochodzi się do przykonania, że oni właśnie wyżywali całe swoje „ja", aby potem wyżywszy je módz powiedzieć: „już nic nie mam do zdobycia ni stracenia Istniejęę tak, jakbym nie istniał". Klasycznym przykładem może być Oskar Wilde, który przez całe życie stosował celową metodę „wyżywania się" — za czasów zaś paryskich, poprzednio ukończywszy bilans — przez przeciąg trzyletni — jakby nie żył. Nie dawał znać o sobie, marł, z świadomością że nic już nie ma do ofiarowania, a zdobywać już nie chciał. — Mickiewicza życie jest takim świadomym tworzeniem. Nic przypadkowości — wszystko celem — wszystko zdąża do oddania całej jednostki, całego człowieka...

Dopiero tu w świadomym wyżywaniu swego ja możliwym jest tragiczne zmaganie się z siłą przeciwną, dopiero tutaj możliwym jest wyższe bardziej wartościowe życie.

Życie, które jest momentem, świadomie i celowo tworzonym. Wartość tego życia jest najsprawiedliwszym ekwiwalentem władz duchowych człowieka, gdyż życie daje tyle, ile władze duchowe żądają. Nie mogą zaś żądać więcej, jeśli nie znają wartości wyższych.

Z teatru.

(Różyczka, Komedja w 3 aktach Gastona Armanda de Caillavet'a i Roberta de Flers'a).

Nie dziw, że w czasach, kiedy same zdolności dyplomatyczne nie są w stanie zapewnić powodzenia nawet rzeczywistym politykom, także i sztuka, strojna w uśmiech, kłamliwie uprzejmy dla wszystkich, przepaść musi z kretesem. Autorowie granej onegdaj komedji kłaniają się ustawicznie w prawo i w lewo, schlebiając ostrożnie możnym tego świata, zarówno klerykałom jak i republikanom — pierwszym ze względu na ich przeważnie arystokratyczne pochodzenie, drugim zaś jako wyobrazicielom opinji większości społeczeństwa francuskiego i sfer rządzących. Tam, gdzie trzeba zająć jasne i zdecydowane stanowisko, opowiedzieć się wyraźnie „za" lub „przeciw", panowie Caillavet i Flers chronią się za parawanem dyplomatycznych wykrętów.

I tak, kiedy w drugim akcie dowiadujemy się o projekcie sekularyzacji klasztorów i słyszymy z ust gości-katolików, zebranych w salonie pani de Sermaize, zapowiedź ostrej i bezwzględnej walki z postanowieniem rządowym, chytrzy autorowie każą obecnemu tam kardynałowi de Merance udawać owieczkę. Kardynał w odpowiedzi na zarzut, że z rozkrzyżowanymi bezradnie ramionami staje wobec ciosu, jaki kościołowi zadano, sentencjonalnie zaznacza, ilustrując słowa, znanym, jezuickim gestem, że przyjmuje cios, jak na chrześcijanina przystało... ze złożonymi rękoma.

Nie dość na tym; kardynał, który uważa religię katolicką za fenomen natury, wyrastający z dusz, jak z łona ziemi jej kwiaty i owoce, sam niemal oświadcza się za rozdziałem kościoła od państwa, mimo, iż przecie jest, nie jakimś modernistą, lecz oficjalnym przedstawicielem katolicyzmu rzymskiego a przez długi czas pozostawał nawet w służbie dyplomatycznej — czego autorowie nie omieszkali zaznaczyć. Gdzież tu więc logika?

W ogóle, cały katolicyzm wygląda w „Różyczce" jakoś niesłychanie potulnie a i rządowi przyznano rację, że zniósł klasztory i przepędził braciszków i siostrzyczki, ponieważ ulegał on tylko jakimś nieznanym wyrokom Opatrzności. Takie to wszystko idyliczne i słodkie, jak lukrecja.

Bo, proszę tylko posłuchać.. „Różyczka" ma sto tysięcy franków rocznej renty i równie złote serce. Otoczona rojem wielbicieli postanawia oddać swą rękę człowiekowi, którego kocha. Rozumie się... — Otóż jej wybrańcem jest p. Piotr de Laucrey, który również kocha Różyczkę, ale oboje jakoś nie mogą sobie tego wyznać — on, bo za stary, ona zaś wskutek dziewczęcej nieśmiałości. Wzajemne zbliżenie ułatwia bilecik, który podczas przechadzki Różyczka wciska Piotrowi w rękę. Piotra jednak spotyka nieszczęście — bank amerykański, w którym ulokował swój kapitał, zawiesił wypłaty. Z farsową wielkodusznością usuwa się tedy Piotr Różyczce z drogi, kłamiąc, że jej nie kocha, poczym ona, nie widząc dla siebie innego celu w życiu, wstępuje do klasztoru. Odmienny tryb życia działa na Różyczkę niezmiernie uspakajająco, w ciszy i odosobnieniu goją się serdeczne rany. Poza tym Różyczka ma widocznie powołanie do życia klasztornego. Ochoczo i radośnie, w posłuszeństwie i pokorze spełnia najniższe posługi, jest wzorową wychowawczynią i nauczycielką dzieci jej pieczy powierzonych oraz idealną wprost siostrą miłosierdzia, czuwającą miłośnie po całych nocach u łoża chorych, internowanych w szpitalu klasztornym. Zmienia się też w czasie swego pobytu w klasztorze do niepoznania, odzyskuje dawny humor i pogodę ducha. Piotr znowu po ośmiomiesięcznym pobycie w Ameryce i po szczęśliwym uregulowaniu swoich spraw majątkowych wraca do kraju, gdzie zastaje Różyczkę już jako Klaryskę lecz jeszcze nowicjuszkę, nie związaną ślubami zakonnymi. Piotrowi zda się, wymknęło się z rąk szczęście, choć i teraz nie opuszcza go jeszcze zupełnie zaszczepiona w Ogrojcu Chrystusowym dusza Różyczki. Trapionemu boleśnie męką samotności i zawiedzionych rojeń serdecznych przychodzi z pomocą Różyczka, siostra miłosierdzia, Różyczka, koicielka smutku, i niesie słowa

otuchy i pocieszenia. Jest to jedyny moment w sztuce, który mógłby wypaść pięknie, gdyby to przeobrażenie duchowe Różyczki było rzeczywiste a nie pozorne.

Równoczesne istnienie w jednym sercu dwóch potęg — świetlanej miłości chrześcijańskiej, niepokalanie poczętej i dawnej, trawionej jeszcze ogniem pożądania lecz zamykającej się w sobie wstydliwie, jak kielich kwiatu przed nocą — oto motyw, o którego rozwinięcie pokusiliby się napewno autorowie, gdyby byli poetami. W danym wypadku jednak sprytna spółka pokpiła sprawę, rozwiązując cały konflikt według utartego szablonu komedjowego, by Numa mogła wyjść za Pompiljusza. Kasata zakonu Klarysek i powrót do życia świeckiego dają Różyczce i Piotrowi sposobność do obrania drogi, wiodącej prosto do ołtarza. Po takim, ostatecznym „odnalezieniu się" tych dwojga, zbłąkanych duszyczek, do czego w niemałej mierze przyczynił się zresztą i sam kardynał, stwierdzając, że widocznie „Bóg tak chce" — kurtyna spada.

W ogóle o Bogu ustawicznie się gada w tej komedji, Bóg rad jest republice, rewolucjonistom i klerykałom, autorom wreszcie, którzy radziby znowu uchodzić za Bogu ducha winnych a wiedzieć przecie powinni, jako ludzie z teologją obeznani, że pochlebstwo i łaszenie się u stóp możnych tego świata nie należą bynajmniej do cnót ewangielicznych...

„Różyczkę" wystawiono bardzo starannie i grano doskonale.

Panie: Trapszo, Rotterowa i Dobrzańska oraz panowie Żelazowski, Antoniewski, Chmieliński i inni, stworzyli mieniący się całą gamą charakterystycznych odcieni zespół figur, spędzając za kulisy czczość i martwotę sztuki samej w sobie.

Jan Lipszyc.

Co zawierają poszczególne numery „NOWEGO PRĄDU".?

Od redakcji.

Mamy zaszczyt zawiadomić Szanownych Czytelników „Nowego Prądu", że cenne współpracownictwo p. Ostapa Hrycaja w naszym piśmie, chwilowo uległo przerwie z powodu choroby utalentowanego autora. Mamy nadzieję, że już w najbliższym numerze będziemy mogli zamieścić dalsze głębokie wywody p. Hrycaja o „Poecie". Równocześnie zaznaczymy tam nasze stanowisko do bardzo ważnych zagadnień, poruszonych przez wybitnego norweskiego autora Hansa Jaegera w podanej u nas tłómaczeniem, skróconej przedmowie jego do swej książki „Christiania Boheme" (wydanie niemieckie Wien 1902), i zamieścimy swoje uwagi o myślach p. Edmunda Semila w kwestji „Użycia i wyżycia".

Najbliższy numer ukaże się za tydzień i będzie co do ilości stronic zwiększony.

Prenumerata „Nowego Prądu" we Lwowie 12 kor. rocznie, 3 kor. kwartalnie, 1 kor. miesięcznie z odnoszeniem do domu. Na prowincji w Galicji, w Austrji i zagranicą 13 kor. 60 hal. Administracja i Redakcja otwarta codziennie od 10 rano do 12 w południe i od $2^1/_2$ do 5 po południu, w niedziele i święta od 10 do 11 rano. Cena pojedynczego numeru 30 hal.

